

Żaby w śmietanie, czyli  
**STANISŁAW BAREJA**  
i bliscy

Copyright ©2022 by Katarzyna Bareja  
Copyright for this edition ©2022 by Axis Mundi

REDAKCJA: Marta Szelichowska  
KOREKTA: Małgorzata Kłosowicz  
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

RYSUNEK NA OKŁADCE: autoportret Stanisława Barei z listu do córki  
RYSUNEK NA WYKLEJCE: Stanisław Bareja  
DOBÓR ZDJĘĆ I RYSUNKÓW: Katarzyna Bareja  
PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski  
SKŁAD: Positive Studio  
FOTOEDYCJA: Radosław Maciejewski, Ola Kiziniewicz

WYDANIE I

ISBN OPRAWA TW: 978-83-66451-15-5  
EAN OPRAWA TW: 9788366451155

ISBN E-BOOK: 978-83-66451-16-2

Zdjęcia – archiwum prywatne Autorki

Zachowano oryginalną pisownię pamiętników, listów oraz wierszy.

Wydawca oraz Autorka dołożyli wszelkich starań, aby uzyskać wszystkie potrzebne zgody na publikację zamieszczonego w książce materiału – osoby omyłkowo pominięte prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej  
oraz Stowarzyszenie Filmowców Polskich.



Katarzyna Bareja

Żaby w śmietanie, czyli  
**STANISŁAW BAREJA**  
i bliscy





*Odkryłem wartość humoru, tego praktycznego i przynoszącego pełne zadowolenie sposobu unieszkodliwiania rzeczywistości właśnie w chwili, kiedy zamierza spaść nam na głowę. (...) Humor jest świadectwem godności człowieka, jego wyższości nad własnym losem.*

Romain Gary, *Obietnica poranka*

*Dedykuję Rodzinie i Widzom filmów Taty.  
Dzięki Wam Stanisław Bareja  
wciąż jest między nami.*

Katarzyna Bareja

STANISŁAW BAREJA  
REŻYSER

Warszawa 02-641  
ul. Fiełborska 21

tel. 44-23-42



## SŁOWO WSTĘPNE KATARZYNY BAREI. ŻABA W ŚMIETANIE

Tytuł wspomnieniowej książki o Stanisławie Barei i jego bliskich nawiązuje do przytaczanej przezeń bajki (znajdą ją Państwo na końcu wstępu) oraz do scenariusza komedii filmowej *Żaba w śmietanie* napisanego przez reżysera do spółki z Jackiem Fedorowiczem w roku 1970.

Główny bohater filmu *Żaba w śmietanie* oferuje upragnionej dziewczynie pomoc w przeprowadzce z Targówka na Bardzo Daleki Mokotów (dokąd sami państwo Barejowie przenieśli się w latach sześćdziesiątych xx wieku). Nie dysponując autem,

PREZESIMONSTWO REALIZACJI FILMÓW  
„ZESPOŁY FILMOWE”  
Warszawa, ul. Puławska Nr 61

Warszawa, dnia 15.07.1970 r.

DOK- 761 /70

Obywatel

Stanisław Bareja

w m i e j s c u

W związku z zaniechaniem realizacji filmu "Żaba w śmietanie" - proponuję Obywatelowi wykorzystanie urlopu wypoczynkowego za rok bieżący od dnia 1 do 31 sierpnia 1970 r.

Do wiadomości:

Dział Zatrudn. i Płac

DIREKTOR

mgr inż. Wiesław Bajer



od lewej: Gabrysia i Monia  
(córki Janka Barei) oraz Mikołaj i Kasia



od lewej: Janek z synem Tymonem i Kasia

chłopak przemierza dzielnicę Warszawy bagażową riksą wyładowaną dobytkiem ukochanej i doświadcza po drodze licznych perypetii. „Towarzyszmy bohaterowi w wędrówce od przedwojennej zabudowy »wiechowskiej« Pelcowizny i Targówka przez odbudowane Śródmieście i Powiśle do budującego się Mokotowa. Pokazujemy w ten sposób przekrój całej Warszawy, naszej 25-letniej jubilatki, jej piękno i osobliwości” – zapowiadali autorzy. Jak to u Barei, całodniowa wędrówka głównego bohatera przez stolicę miała służyć spiętrzeniu gagów. Scenariusz przyjęto, po czym... odrzucono bez wyjaśnienia [kopia pisma na poprzedniej stronie – przypis Katarzyny Barei], tuż przed zapowiedzią przystąpienia do realizacji. „To jest bardzo dobra koncepcja! Bardzo dobra koncepcja! Niech pan jedzie na grzyby!” – *Miś*.

„Istnieje chyba jakaś »Bareja wytrzymałości?«” – w 1974 roku wymruczał w eter radiowiec wiedziony sympatią wobec reżysera, który sam siebie określał mianem „chłopca do bicia” ówczesnych środków masowego przekazu. Do lat osiemdziesiątych było





oczywiste, że każda recenzja na temat kolejnego filmu Taty będzie szydercza, a co najmniej krytyczna; łagodnie zasugerował, że bym ich nie czytała: „Bo ci będzie przykro”...

Stanisław Bareja przypuszczał, że jego filmy w niedługim czasie będą stawały się niezrozumiałe dla widzów z powodu aluzji do konkretnych aspektów ówczesnej rzeczywistości. Tymczasem niegasnąca popularność tych komedii dowodzi, że widzowie wciąż cenią bareizmy. Ależ by się zdziwił i pewnie zrobił swój słynny grymas, by ukryć zmieszanie, ponieważ przy całej twórczej energii i erudycji był bardzo skromny.

À propos bareizmów – chciałabym ostatecznie wyjaśnić zarówno etymologię, jak i autorstwo tego określenia. Nie stworzył go Kazimierz Kutz, lecz Janusz Weychert, przyjaciel Taty ze szkoły filmowej w Łodzi.

Termin „bareizm” powstał jako wyraz uznania przyjaciół wobec poczucia humoru Staszka i jego specyficznych żartów. Kutz spostrzegł bareizmy oraz twórczość dotychczasowego przyjaciela podczas spotkania przedstawicieli kinematografii z towarzyszami z PZPR (w latach sześćdziesiątych XX w.).

„Pies szczeka, karawana idzie dalej” – zwykł mawiać w takich sytuacjach Bareja. I coraz sprawniej „robił swoje”. A określenie „bareizm” odzyskało uznanie, stając się synonimem absurdów polskiej rzeczywistości i przeniknęło do codziennego języka Polaków w stopniu, jakiego Stanisław Bareja nie mógł przewidzieć.

Od lat pojawiają się kolejne artykuły i książki na temat artystycznego dorobku Stanisława Barei. Powstają prace naukowe (sama napisałam pracę magisterską na temat budowy sytuacji komicznych w *Misiu*). Jego nazwisko noszą ulice w kilku miastach oraz ronda: w Krakowie (krzywawe) i Jeleniej Górze. Ostatnio (w 2021 roku) padła propozycja nazwania mokotowskiego ronda imieniem *Misia* (a nie lepiej *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz...?*). Reżyser patronował festiwalom: na przykład Barejadzie w Jeleniej Górze

(1999–2016) czy *Zawsze z Bareją* w Warszawie (2008). Odbywają się spotkania na temat życia, filozofii i twórczości Barei oraz spaceru jego śladami po stolicy (sama zorganizowałam dwie takie trasy). Prasa oraz internet, a przede wszystkim prywatne rozmowy pełne są cytatów z jego komedii.

Niejeden bar mleczny (w Toruniu, na warszawskiej Pradze) wabi klientów dekoracją ze scen z *Misia*: stolikiem z przymocowanymi na łańcuchu łyżkami lub tabliczką z napisem „Klient w krawacie jest mniej awanturujący się”. We Wrocławiu przypadkiem znalazłam się w barze o nazwie Motyla Noga, z dybami do karania za używanie brzydkich słów.

Tworzy się „Misiowe” pamiątki w postaci słomianych misiów, kubków, t-shirtów i tabliczek z kultowymi tekstami: „Bardzo porządna dziewczyna. Trudno, co robić”, „Dzień dobry, cześć i czołem”, „Nie wiem, nie orientuję się, nie znam się, zarobiony jestem”, „Pan tu nie stał” itp. Można je kupić na przykład w internetowym sklepie o adekwatnej nazwie Spod Lady.

Piosenki z filmów Barei zyskują nowe aranżacje, jak *W powietrzu wyrzeźbiłem twój twarz* w wykonaniu Ewy Bem (w oryginale śpiewał ją Daniel Olbrychski) z *Małżeństwa z rozsądku* czy *Pastorałka z Misia*, którą miałam przyjemność zaśpiewać w teatrze Stara Prochownia zimą 2019 roku. Ot, „Nasz Bareja” – jak miło określono go we współczesnej prasie.

Dzięki temu, że moja Mama, Hanna Kotkowska-Bareja, pieczołowicie przechowała listy i młodzieńcze pamiętniki Taty, mogłam je przeczytać i opracować. Dla rodziny, do szuflady? Początkowo tak miało być. Tymczasem podczas moich spotkań z miłośnikami filmów Taty stale powtarzało się pytanie: „Jaki był Stanisław Bareja w domu – poważny, zajęty wyłącznie swoją pracą?” (ależ skąd, był opiekuńczy, wesoły i pomysłowy w organizowaniu rodzinnych zajęć) – doszłam więc do wniosku, że najlepiej będzie, gdy odpowiem za jednym zamachem. Jestem ogromnie wdzięczna Widzom



Ewa Bem śpiewa kołysankę z *Misia*, obok Kasia B.



Wnuk i dwie wnuczki Stanisława Barei

filmów Taty za Wasz nieustający entuzjazm, który utwierdził mnie w przekonaniu, że moja fascynacja osobą i twórczością Stanisława Barei to nie tylko wynik nieobiektywnej, córczynej żarliwości. Stąd wziął się pomysł przedstawienia Ojca oraz krewnych i przyjaciół w tej książce – niejako od kuchni, w której spędzaliśmy wspólnie tyle czasu. Stanisław Bareja i tutaj pichcił nowe bareizmy.

Jego umiejętność dostrzegania absurdów i przedstawianie ich w inteligentny i dowcipny sposób urozmaicały nasze domowe życie. Żartował, kpiał, ale nie szydził, nad nikim się nie wynosząc, pełen nieskrywanego uznania wobec mądrych i prawych ludzi. Kochał Polskę i Polaków; wierzę, że fenomen nieustającej popularności jego komedii wynika między innymi z faktu, że Widzowie wyczuwają szacunek i ciepło tego reżysera w stosunku do nich samych, jego serdeczność i przyjazną chęć dzielenia się tym, co śmieszne, a zatem nie takie straszne i do przewyciężenia. Wszyscy bywamy „żabami w śmietanie” i wszyscy bywamy zabawni, od niego samego poczynając, na przykład gdy jeździł po Mokotowie na niebieskim składaku, w spodniach spiętych spinaczem do papierów, z nieodłączną teczką ze scenopisem i kanapką oraz siatkami pełnymi zakupów z bazaru przy ulicy Dolnej.

Świadoma niemożności dogonienia/przegonienia Taty w Jego unikalnym poczuciu humoru, najchętniej oddaję głos Jemu samemu, cytując fragmenty młodzieńczych pamiętników z Jeleniej Góry oraz zachowane listy. Co do domowników, każde z nas pamięta Go na swój sposób; marzyło mi się umieszczenie w tej książce wszelkich opowieści, ale z rozmów z Mamą i Bratem wynikło, że może sami zechcą kiedyś zaprezentować swoje wspomnienia, a zatem postaram się zadowolić Czytelnika tymi materiałami, do których otrzymałam dostęp i przyzwolenie na publikację.

Moje własne wspomnienia o Stanisławie Barei są pisane z perspektywy bardziej kijankowej niż żabiej, ponieważ dotyczą przede wszystkim czasów, gdy byłam Jego małą córeczką. Wpływ Taty na



moje życiowe wybory utrzymuje się do dziś, więc na zakończenie książki wspomnę o własnych losach na wieloletniej emigracji, o synu Mikołaju Stanisławie Barei (który odziedziczył po Dziadku poczucie humoru!) i o powrocie do kraju, na warszawski Mokotów – bo tak jak Stanisław Bareja „wolę Polskę”.

## ŻABY W ŚMIETANIE

(opowiedział Stanisław Bareja, zrymowała Katarzyna Bareja)

Tam gdzie Sielce, gdzie Mokotów, zgrzane aż do siódmych potów  
– żaby marzą o kąpeli... Patrzą – coś się w beczce bieli.  
Chlupie, chłodną tonią kusi... Żaba się nawilżyć musi,  
zatem skacze rozkumkana. To nie woda, to... śmietana!  
Jedna z żabek – ledwie kumknie – gęstej toni już nie umknie.  
Łyknąwszy śmietany łyceczek, poszła na dno jak kamyczek.  
Druga żabka, z mocą w łapkach, widząc, co to za pułapka,  
podskakuje jak szalona – za nic w mazi tej nie skona!  
Choć bez szansy niby wcale, to skakała tak wytrwale,  
że choć życie już w niej gasło – ubiła pod sobą masło.  
Niczym Wenus ze śmietany, wychynęła żaba z piany.  
Wyskoczyła no i cześć, rada żabie życie wieść.  
Jaki morał tej bajeczki? Każdy zdoła wyleźć z beczki,  
niechaj tylko się postara – wiwat moc i w siebie wiara!



„Pisanka” stanu wojennego –  
prezent od scenografek  
Alternatywy 4 dla St. Barei



Wochamy Stasin!  
już do Ciebie napisałam  
i miodo to, czy tam jest jak  
woców, czy coś do zjedzenia  
baleronik i trochę suchej kiel  
kie jak napiszesz czy posłać  
i posyłam Ci 100 zł.; kilka  
i odpowiedział na moje p.  
bardzo się oziębilo i poraz  
myślałam o Tobie, że po  
Całuj



## ROZDZIAŁ 1 Z PAMIĘTNIKA STANISŁAWY BAREJOWEJ

Stanisław Bareja zapowiadał, że spíše wspomnienia, gdy zaprzestanie kręcenia filmów. Tymczasem zachęcał do tego swoją „Mamusię” – Stanisławę Barejową. Ona, pragnąc zadowolić syna, wielokrotnie podejmowała próby spisania dziejów rodziny, co kończyło się na wykaligrafowaniu tej samej pierwszej strony pamiętnika. Najwyraźniej nie była w stanie ponownie przeżywać tragicznej śmierci córeczki Hani i syna Wiesia, koszarów wojny i utraty dorobku życia.

Tak się przynajmniej zdawało. Buszując wśród rodzinnych archiwów, natrafiłam na spłowiałą teczkę, związaną parciejącą tasiemką. Wzięłam się do wertowania fragmentów scenopisów, notatek z planów filmowych oraz szkiców scen wykonanych przez Stanisława Bareję. Nagle moim oczom ukazał się plik kartek z zeszytu w kratkę, spisanych niezapomnianym kaligraficznym pismem. Babcia?!

Stanisława Barejowa, nienawykła do pisania, w powściągliwy i skromny sposób daje świadectwo charakteru, z którego mocy nie zdawałam sobie sprawy, kochając ją „tylko” za niezawodność w okazywaniu serdeczności i wsparcia. To właśnie Ona, przez całe życie ciężko pracująca wędliniarka, zaszczerpiła w synu Stanisławie umiłowanie do literatury i filmu, a obdarzając go bezwarunkową i czułą miłością, wzmacniała jego wiarę w siebie.

## WSPOMNIENIA STANISŁAWY BAREJOWEJ Z DOMU CHMIELARZ (1905–1990)

Matka moja, Maria Terlecka (wtedy pisało się Marianna, bo w okolicy mówiono, że tylko Matka Boska mogła być Marią), urodziła się na Majdanku koło Zamościa, w rodzinie wyrobników, miała dwóch braci i siostrę Rozalię. Od najmłodszych lat chodziła na zarobek, tłukła proso w stępie [narzędzie służące do tłuczenia między innymi zboża na kaszę jaglaną lub pęczak oraz tłoczenia oleju z rzepaku – KB].

Co niedzielę chodzili [całą rodziną – przyp. red.] do kościoła, przechodząc przez granicę rosyjską, co było bardzo niebezpieczne. W Warszawie miała wujostwo Gmurszyków. Ciotka napisała, że da jej pracę w sklepie. Jechać, ale za co? Po długich staraniach zebrała na bilety dla siebie i dla brata, bo sama bała się jechać, no i nie wypadało.

Ojciec mój (Stanisław Chmielarz) urodził się w Czołowiu, nieopodal Koła. Mieli kawałek ziemi, ale i dużą rodzinę, którą trudno było utrzymać. Ojciec, jeden z dziesięciorga dzieci, orząc kiedyś pole, stanął, popatrzył w stronę miasta, odstawił pług i poszedł do Koła. Tam znalazł pracę u rzeźnika. Po jakimś czasie pojechał do Warszawy, skończył termin u Lejbrandta. Następnie już jako czeladnik dostał pracę u Gmurszyków i tam poznał pannę Manię, z którą bardzo się polubili. Kiedyś jakaś klientka chciała poprosić pannę Manię i pana Stasia w kumy. A ojciec na to: „Nie mogę podawać z panną Manią, bo by nam nie dali ślubu”, i takie były oświadczenia. Po ślubie ciotka dała im 100 rubli, mając trochę swoich oszczędności, wynajęli sklep i warsztat na ul. Czerniakowskiego, na bazarze. Na tym bazarze chodziła wysoka kobieta, okryta dużą peleryną, pod którą nosiła kubel, i wołała: „Daj grosz, usiądź na kosz”, a gdy ktoś skorzystał, szła na bok i wylewała. Taka była ubikacja. Urodziła się Irka. Ojciec płakał, że nie syn. Potem urodził się



Prawnuczka Marianny Kasia ze stępą

Henio i kiedy ja się urodziłam, ojciec już nie płakał. W roku 1905, przed moim urodzeniem, wpadło do sklepu dwóch rewolucjonistów i rzucili na ściany dwie butelki żrącego płynu. Na szczęście mamie nic się nie stało, ale towar został zniszczony. Uważali nas za bogaczy, a mama co tydzień chodziła pieszo na Nalewki i stamtąd nosiła na plecach trochę mięsa. Kiedy się dorobili, kupili plac na Sieleckiej, wtedy nazywała się wieś Sielce, gmina Mokotów. Tam wybudowali od frontu sklep i dwa pokoje z kuchnią, w oficynie warsztat i dużą lodownię, nawoziło się zimą lód, który starczał na całe lato. Kiedy dom był jeszcze niewykończony, rodzice sprowadzili się i wśród zimna i przeciągów mały Henio zaziębił się, dostał dyfterytu i umarł. Z tego pamiętam tylko, że jechaliśmy specjalną karetą, w której między pudłem karety a siedzeniem woźnicy było urządzenie na postawienie trumienki.

Jako mała dziewczynka, zamknięta na podwórku, sprowadzałam sobie koleżanki i bawiłyśmy się w sklep. Kiedy postawiłam piasek jako mąkę, marchewkę czy chleb, one domagały się czegoś lepszego. Wtedy szłam do warsztatu, brałam kiszkę, kielbasę, i handel się ożywił. Tak się udawało, dokąd ojciec nie zauważył. Zabrał „towar”, koleżanki wyprosił i handel się skończył, a furтка została zamknięta.

Jak się okazało, nasz plac, a zatem i dom stał na zasypanym źródle i w piwnicy stale była woda. Na wodzie kołysała się balia. Wsiadałam, popychałam się patykiem i pływałam dookoła. Kiedyś balia się przechyliła, ja się skąpałam, na mój krzyk wypadli pracownicy z warsztatu i uratowali mnie. Ojciec bardzo się przejął i balia została zabrana.

Ponieważ sklep na razie prosperował, wynajęto go Żydowi, który handlował – od śledzi do chlorku – i jakoś żył. Rodzice wynajęli sklep na Mokotowskiej i mama jeździła codziennie o godz. 5 rano bryczką, wraz z towarem, między innymi wożąc gorące parówki. Bardzo tęskniłam za mamą i kiedy udało mi się obudzić w czasie wyjazdu mamy, zrywałam się i w koszuli biegłam za bryczką. Mama,

rada nierada, kazała przynieść mi ubranie i zabierała do sklepu, tam obdarowana słodyczami wracałam do domu. Kiedyś jechali do sklepu ulicą Belwederską, gdzie chodziła kolejka wilanowska. Maszynista widząc, że koń się lęka, zagwizdał. Koń rzucił się w rów i mama została ciężko ranna, wszczęto sprawę sądową, ale wojna przerwała proces.

Kiedy miałam około czterech lat, była u nas babcia, mama mamy. Bardzo ją kochałam, bo bawiła się ze mną w sklep. Babcia lubiła w niedzielę napić się kieliszeczek wódki, a żeby nie siać zgorzenia, trzymała ją pod łóżkiem. Ja się kiedyś bawiłam piłką i ta wpadła mi pod łóżko, zobaczyłam butelkę, spróbowałam i bardzo mi smakowała, bo była słodka i trochę szczypała w język. Po chwili zostawiłam butelkę, poszłam do kuchni i tam upadłam. Mama się bardzo przestraszyła, ale poczuła wódkę, poszła do pokoju i tam znalazła powód. Było to pierwsze i ostatnie moje upicie się w życiu. Potem nazywano mnie „baba pijak”.

W roku 1914 wybuchła I wojna światowa. Pamiętam, jak z wielką pompą niesiono portret cara Mikołaja, i [pamiętam – przyp. red.] całą ulicę żołnierzy. Do sklepu wszedł jakiś Żyd, ojciec go pyta, kto zwycięży. „Ny kto, nasi, ci nasi, co zwyciężają”. Ponieważ w sklepie nie było czym handlować, ojciec wynajął go panu Brykalskiemu, który miał jakieś przydziały, a kiedy zabrakło towaru, ludzie chcieli go powiesić na kotwie, lecz interwencja policji zapobiegła tragedji.

Rodzice wzięli w dzierżawę kolonię poniemiecką na Kępie Zawadowskiej. Na jesieni ja i Irka zostałyśmy zapisane na pensję do pani Zdziennickiej na ulicy Bagatela. I teraz zaczęła się nasza gehenna. Dwa pokoje i sklep zostały wynajęte, a my mieszkaliśmy w kuchni. Kiedy wstawałam rano, woda w misce była zamrznięta i trzeba było rozpalać ogień, gotować kartoflanekę i do szkoły. W sobotę zawsze jeździliśmy do domu. Najpierw kolejką, do Wilanowa, po tym jakieś 7 kilometrów pieszo. Kiedyś szliśmy akurat na imieniny mamy, a rzeka wylała i nie było mowy o przejściu. Stałyśmy

i zaczęłyśmy płakać. Na szczęście jechała bryczka ze dworu i przewiozła nas na drugą stronę mostem. W domu ogrzane, trochę odżywione, w poniedziałek znów wędrówka do szkoły. Czasem ojciec odwoził nas, wioząc drzewo, kartofle i co tam jeszcze się dało. Kiedy weszli Niemcy, kolonię trzeba było opuścić i rodzice wrócili na Sielecką. Mieli trzy krowy, cielaczka i dwie świnie. Z tego choć po cichu zaczęli handlować. Kiedyś ojciec kupił krowę u sąsiada i zabił ją. Właścicielka, pokłóciwszy się z mężem, poszła do Niemców i oskarżyła ojca. Naturalnie przyszła rewizja, ale jakiś uczciwy Niemiec zajrzał do lodowni i powiedział: „No ty masz tylko dla siebie, nie będziemy ci zabierać”. Za to dostał porządną paczkę mięsa, które wysłał do Niemiec, pieniędzy nie chciał.

Barejowie mieli 5 dzieci: Stasia, Solka, Jankę, Czesię i Zygmunta. Czesia wyszła za mąż za Henryka Świętochowskiego, bardzo porządnego człowieka. Janka wymawiała mu, że siedzi na łasce ojca, powiedziała: „ty dziadoku”. On, zdenerwowany, chwycił rewolwer, strzelił do niej, lekko ją raniąc, sprawę jakoś zatuszowano. Heniek pracował w „Expressie Wieczornym”. W czasie okupacji na rozkaz Niemców musiał wrócić do pracy. Odbyła się rewizja, w szafce Heńka znaleziono zakazane pisma i aresztowano go. Siedział w Alei Szucha. Po tym znaleziono jego szczątki w Palmirach. Starszy ich syn, Czesio, zginął na posterunku jako powstaniec. Jankę i Zygmunta wzięto na roboty do Niemiec. O Zygmuncie słuch zaginął. Janka, wracając do Polski, dostała się pod pociąg i tylko zdążyła powiedzieć, jak się nazywa, i prosiła, żeby dać znać rodzicom.

Solek (Sylwester Bareja, przyszyły ojciec Stanisława), odkąd dorósł, co wiosny stawał w progu domu i głęboko wciągał powietrze w płuca, rozchyłał nozdrza i... „Solek zaraz znowu ucieknie z domu” – przewidywano. Potrafił wyjść tak, jak stał, i ruszyć. Mając 14 lat, dostał nowy garnitur. Ochlapano go wodą i gdy wrócił do domu, dostał lanie. Wtedy zdjął garnitur, włożył stare łachy i wyszedł z domu. Po kilku dniach złapała go policja w Częstochowie, gdzie

sprzedawał gazety. Odstawiony do domu, nie siedział długo. Po pewnym czasie, bez grosza w kieszeni, pojechał do Rosji. Tam pracował w jakimś dużym zakładzie wędliniarskim, gdzie wiele się nauczył. Kiedy mu się znudziło, chciał wrócić do Polski. Na granicy polskiej strażnicy nie chcieli go puścić, tak samo strażnicy rosyjscy, wreszcie aresztowano go jako szpiega. Z Rosji przysłali list z prośbą, aby mu przysłać zaświadczenie, że nie jest szpiegiem, podpisane przez trzech obywateli. Teś zwrócił się do mojego ojca. Ojciec powiedział: „Nie znam młodego, ale dla Barei – podpisz, Stasiu” – i stałam się pośrednio jego wybawicielką. Wędrował po całej Europie – od Kaukazu po Francję, gdzie podjął pracę w cyrku. Przydzielono go do uprzątnia słoniowych odchodów z areny (w trakcie przedstawienia). Solek... zamiast jak najszybciej uporać się z zadaniem, przeobraził je w mały spektakl: obchodził kupę z wyrazem obrzydzenia na twarzy, zataczał się od smrodu i zatykając nos, z wykręconą szyją, „po omacku” usiłował zagarnąć szuflę stertę nawozu. Publiczność nagrodziła go oklaskami, a więc i dyrektor cyrku zwrócił uwagę na nieoczekiwany talent sprzątacza. „Awansował” Solka, zatrudniając do innej sztuki. Należało z dużej wysokości wskoczyć (trafić!) do małego baseniku przykrytego... szklaną taflą, wychodząc bez szwanku. Dziadek zgodził się, ale do występu nie doszło. Życzliwy członek cyrkowej trupy wyjawiał mu, że jego poprzednik źle skoczył i sztylety strzaskanego szkła wbiły mu się w ciało; zmarł z upływu krwi. Sylwester bezzwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Teraz trochę o mojej edukacji. Po skończeniu czterech klas na pensji poszłam na kursy maturalne, gdzie skończyłam piątą i szóstą klasę, potem zapisałam się na pensję dla nauczycielek. Mama, nie chcąc mi się sprzeciwiać, czekała cierpliwie, lecz kiedy trzeba było wnieść opłatę, poszła sama, a po powrocie powiedziała, że przełożona jest zdania, że nie nadaję się na nauczycielkę. Mama posłała mnie do znajomej krawcowej, gdzie cały dzień ściboliłam

i byłam głodna. Gdy wróciłam do domu, nie mogłam jeść i byłam zła jak osa. Po tygodniu mama powiedziała: „Z ciebie krawcowa nie będzie”, i nie kazała mi iść więcej. Wtedy odżyłam.

Śpiewałam w chórze, w kapliczce, gdzie poznałam organistę Komarzewskiego i zaprosiłam go do nas, żeby grał na pianinie, które kupiła Irka, pracując w P.K.O. Grał i patrząc na mnie, śpiewał: „Oczu twych gwiazdy dwie”. Poprosił mnie o rękę, zgodziłam się. Były uroczyste zaręczyny, ksiądz poświęcił pierścionki. Kiedyś pojechałam z mamą do parafii, gdzie pracował mój narzeczony. Gdy zobaczyłam tę zapadłą wieś, jak go całowali po rękach bogaci gospodarze, odechciało mi się takiego życia. Zerwałam zaręczyny i oddałam mu pierścionek. Przecież w domu było tak wesoło. Kiedyś wróżyła mi Cyganka i powiedziała: „Ty masz narzeczonego, ale on nie będzie twoim mężem. Twój mąż jeździ gdzieś po świecie”. Ja byłam córką ojca, wszędzie z nim chodziłam, do cyrku, na wyścigi, do restauracji. Kiedyś pojechaliśmy do parku po drzewo. Mimo mrozu zrobiło mi się ciepło, usiadłam pod drzewem i zasnęłam. Gdyby ojciec nie zauważył, byłabym zamarzła, dopiero rozcieranie śniegiem przywróciło mnie do życia. Później pracowałam w warsztacie. Zamiast sprzątać w domu, wołałam kręcić mięso, trybować kości i tak się wyuczyłam, że robiłam pyszne wędliny, krakowską, pasztetową, do której dodawało się cielęcinę i jajka, takich wędlin dziś nie ma.

Obok nas mieszkała kupa szewców, którzy cały tydzień tłukli młotkami. W niedzielę sprzedawali wszystko na Kercelaku [nazwa funkcjonującego w latach 1867–1947 warszawskiego targowiska na nieistniejącym dziś placu Kercelego na Woli – KB], w poniedziałek pili i robili straszne awantury. Po nich kupił dom piekarz Woźniak, z którym mój ojciec bardzo się zaprzyjaźnił. Dalej mieszkał również piekarz, Samełko, który miał syna Henryka, który w pewne dni, o pewnej porze wychodził z domu. Raz ojciec poszedł za nim i odkrył pijacką melinę. Zrzucił wszystko





Jadwiga, Irena i Stasia Chmielarzówny

ze stołu, wziął syna za kark, chłopak w domu dostał porządne lanie i bibki się skończyły.

Za pozwoleniem mamy zapraszałam koleżanki i kolegów i bawiliśmy się jak szaleni. Tańczyliśmy polki, oberki, sztajerki [rodzaj polki, taniec pochodzący z Alp Wschodnich, popularny na podmiejskich zabawach w przedwojennej Polsce – KB], na odpoczynek tango i walca figurowego. Gdy byliśmy dość zmęczeni, siadaliśmy i śpiewaliśmy, i bawiliśmy się w różne gry, takie jak „Talar tu, talar tam”, „Chodzi lisek koło drogi” i inne, z fantami. Po tym mama kazała mi kroić wędliny i robić herbatę. Raz jakiś kolega przyprowadził swego kolegę. Kiedy zasiedliśmy do stołu, ten wyjął butelkę wódki i postawił na stole. Wtedy ojciec wziął wódkę i powiedział, że w tym towarzystwie nie pije się alkoholu. Kiedy kolega wychodził, ojciec oddał mu wódkę. A ten więcej się nie pokazał. Później pracowałam w sklepie. Kiedy Irka kupiła mi upragnione

łyżwy, przychodzili chłopcy i całując mamę w rękę, prosili, żeby „pozwoliła pannie Stasi iść z nimi na ślizgawkę”. „Dobra, tylko żebyście o dziewiątej ją przyprowadzili”. Chodziliśmy do Doliny Szwajcarskiej [przedwojenny warszawski ogród wypoczynkowo-rozrywkowy, była w nim m.in. słynna ślizgawka – KB] lub do Łobzowianki [powstały w 1925 roku drewniany pawilon kawiarniano-wystawienniczy, były w nim organizowane rozmaite wystawy – KB], teraz tam jest plac Na Rozdrożu. Wychodząc z domu, zawsze całowałyśmy rodziców w rękę. Kiedy Irkę zwolniono z P.K.O., nie chcąc być na łasce rodziców, poprosiła ojca i on dobudował mały sklepik i tam handlowała pasmanterją, a gdy wyszła za męża, sklepik poprowadziła mama.

Stasia, Staś i Solec nad Wisłą, Kępa Zawadowska



W niedzielę latem jeździliśmy całą ferajną na Zawady [Kępa Zawadowska to dawna wieś podwarszawska położona nad Wisłą, w południowo-wschodniej części Wilanowa; dziś znajduje się tam osiedle mieszkaniowe – KB], my, Woźniakowie, Samełkowie i Barejowie. My jechaliśmy na wolantach [rodzaj jednokonnej bryczki, z budą lub bez, na ogół dwuosobowej, z miejscem dla woźnicy – KB], a za nami bryczka z młodzieżą. Tam było używanie, kąpiel, plaża, wyścigi, jazda na koniach na oklep i różne zabawy. Kiedyś Jadzia, idąc z koleżanką brzegiem, wpadła w wir, bo urwał im się grunt. Tylko przytomność Andrzeja Woźniaka je uratowała. Pobiegł brzegiem naprzeciw nim i wyciągnął za włosy. Teść zawsze przywoził zrazy po nelsonsku, które na rozpalonym ognisku odgrzewała Michałakowa, każdy przywoził, co miał najlepszego.

Ojciec jeździł do Grójca po towar i tam na stacji dostał się między dwa bufory wagonów. Po powrocie bardzo narzekał na ból w krzyżu i żadne okłady nic nie pomagały. Okazało się, że jest to rak nerek. Jeździliśmy do różnych doktorów, nawet do znachora, który powiedział, że mógłby wyleczyć, ale jest już za późno. Dnia 20 stycznia 1927 r. ojciec zmarł. Z powodu dużego mrozu nie można było zbudować grobu, więc za zgodą sąsiada wstawiliśmy trumnę do jego grobowca. Na wiosnę przyjechał brat mamy z Zamościa, podejmując się budowy grobu. Pojechałam z nim na Powązki i pokazałam mu, jaki chcę mieć grób. On wziął wymiary i zaczął pracę. Te dwie kolumny zrobił z własnej inicjatywy, co mi się nie bardzo podobało. Po tym nastąpiła ekshumacja.

Kiedy Roman Stępniewski gdzieś się zawieruszył, ciocia Różia dostała gruźlicy i z jej powodu umarła. Mama pielęgnowała ją, sama się zaraziła, naturalnie nie było ratunku. W międzyczasie mama nadbudowała pierwsze piętro i leżała na górze. Nie mogąc jej pielęgnować, bo pracowałam w naszej masarni i sklepie, sprowadziłam panią Świącicką i ta ją pielęgnowała. Kiedyś siedziałyśmy u mamy – Irka, Jadzia i ja. Mama wypowiedziała swoją ostatnią



Sielce

wolę, przeznaczając pewne sumy, które miała ulokowane u kogoś na hipotecę, a mnie całą posiadłość na Sieleckiej. Wtedy one się oburzyły, że mnie, najbogatszej, mama tyle przeznacza, a mama powiedziała, że ja najwięcej o nią dbałam. Wówczas powiedziałam, że tego nie wykorzystam, i słowa dotrzymałam. Dnia 13 marca 1938 r. mama zmarła, na szczęście nie doczekawszy wojny. Staś bardzo płakał na pogrzebie babci.

Po śmierci ojca mama chciała wydzierżawić warsztat; jak zobaczyłam, że obcy ludzie chodzą po moim podwórku, uprosiłam mamę, żebyśmy prowadziły go same z Witkiem. Witek był bratankiem mamy, która kazała mu przyjechać, żeby się nauczył zawodu i terminował u mojego ojca. Witek miał brata Henryka, który w 1939 roku chciał wyjechać do Ameryki, ale brakło mu pieniędzy, więc dałam mu jakąś sumę, nie myśląc o zwrocie. On jednak pamiętał i przysłał mi trochę

dolarów, które przywiozła jego żona. Teraz jest w Kanadzie i trochę korespondujemy, parę razy przysłał paczkę ze słodyczami.

Teść bardzo mi pomógł w zakupie żywca i zaraz wysłał Solkowi pieniądze na bilet i kazał mu prędko wracać i Solek wrócił. Ponieważ nasza lodownia była dla nas za duża, teść odnajmował połowę i Solek często przyjeżdżał, więc mieliśmy okazję się poznać.

Kiedyś, wracając z Pragi, spotkałam na Litewskiej Solka. A on: „Panno Stasiu, chcę pani coś powiedzieć” – i tak powtarzał kilka razy. Ja mówię: „Niechże pan wreszcie wykrztusi”, a on: „Czy pani zechce zostać moją żoną?”. A ja: „Przecież my się wcale nie znamy”. A on: „A czy nie pamięta pani, jak to na Bielanych (gdzie jeździliśmy zawsze na Zielone Świątki) rzuciła pani we mnie piłką, a ja jako »elegancki kawaler« powiedziałem: »smarkata«, i wcale na panią nie patrzyłem”. Miałam wtedy adoratora Bronka, pilota, nie chciał słyszeć o zerwaniu i kiedy dowiedział się o moich zaręczynach, poszedł do koszar i strzelił do siebie, ledwie go koledzy odratowali. Z Solkiem zaręczyliśmy się i daliśmy na zapowiedzi. Kiedyś byliśmy na spacerze i rozmawialiśmy o ślubie. Powiedział, że dla niego to nic ważnego, że może iść nawet w kaftanie. Ja na to, że dla mnie to jest bardzo ważne i jeżeli mamy się później nie zgadzać, to lepiej się rozstańmy, i oddałam mu pierścionek. Teść się bardzo zmartwił. Zaprowadził go potem do jakiejś panny, która miała kamienicę na Marszałkowskiej. Kiedy wyszli, Solek powiedział, że więcej tam nie pójdzie, bo położył kapelusz na kredensie i było na nim pełno kurzu. Wrócił do mnie, bardzo przeproszał i na wszystko się zgadzał. Ślub odbył się bardzo uroczysty, ja byłam w białej sukni i welonie. Solek w eleganckim smokingu, była karetka z białymi końmi.

Po ślubie Solek nie mógł doczekać się dziecka. Ponieważ nie zanosilo się na to, zaczęłam się leczyć. Jeździłam co dzień do dr. Bryndzenackiego [lekarz nazywał się Ludwik Bryndza-Nacki, prowadził klinikę położniczą odziedziczoną po teściu, doktorze Apolinarym Thieme. Z większości źródeł wynika, że klinika mieściła się przy



Stanisława i Sylwester Barejowie

ulicy Marszałkowskiej 45, być może dr Bryndza-Nacki miał również gabinet na Krakowskim Przedmieściu, w dziewiętnastowiecznej kamienicy przejętej od teścia – KB]. Wizyta kosztowała 20 złotych (4 kg szynki), pokojówka dostawała 2 złote i zawsze byłam pierwsza. Zawsze jeździłam taksówką. Kiedyś wsiadam do taksówki, która była zwrócona w stronę Miodowej. Kierowca bez słowa zawraca, pytam: „Dokąd pan jedzie?”, a on: „Na Sielecką, przecież my wszyscy panią znamy”. Niech nikogo nie dziwi moja rozrzutność, bo kiedy Solek spał po libacji, wyjmowałam mu z kieszeni po kilkaset złotych i w ten sposób spłacałam Irkę z połowy domu. Solek bardzo się ucieszył, zaraz zadzwonił do ojca, a ja urosłam na bohaterkę. Kiedy nadeszła upragniona chwila, mama z Jadzią zawiozły mnie do kliniki, bo Solek poszedł w cug. Na drugi dzień przyleciał do

kliniki i zaczął szaleć: „Nie chcę dziecka, tylko ratujcie mi żonę!”. Wyciągnął kupę pieniędzy, nawet dolary: „Oddam wszystko, tylko niech ona żyje”. Doktor powiedział: „Albo wymóżdzenie, albo cesarskie cięcie”. Zgodziłam się na cesarskie cięcie. Solek siedział kamieniem, a mama leżała krzyżem w kościele Zbawiciela. Kiedy Staś się urodził, Solek mało nie oszalał, latał po mieście, łapał ludzi i krzyczał: „Panie, czy pan wie, że ja mam syna!”, i znów poszedł w cug. Przez trzy dni się nie pokazał, dostałam gorączki. Mama przychodziła, tłumaczyła go, a wiedziałam, że to wszystko kłamstwa. Po trzech dniach przychodzi, klęka przy łóżku i mówi: „Stasiu, czy ty wiesz, że ja mam syna” – i co z takim robić. Oprócz Stasia mieliśmy Wiesia i Hanię, ale to zbyt bolesne, aby o tym pisać.

Staś i Wiesio



Hania





Stasia, Staś i Hania





Staś i Wiesio

Solek umiał stracić, ale umiał i zarobić. Zaraz przeprowadził wodę i elektryczność. Wkrótce interes się rozwinął i wynajęliśmy sklep na Puławskiej, pracowały tam Michalina i Janka Kozięłło, Staś nazwał ją Januszką, co jej się bardzo podobało. Chodziłam co wieczór po odbiór kasy, a że obok było kino, co tydzień byłam na jakimś filmie. W niedzielę chodziliśmy zawsze na premierę do Morskiego Oka [warszawski teatrzyk rewiowy działający w różnych lokalizacjach w latach 1925–1933 – KB] albo do Qui Pro Quo [najślynniejszy polski teatrzyk literacko-rewiowy okresu dwudziestolecia międzywojennego, działał w latach 1919–1932 w podziemiach Galerii Luxenburga, dziś nieistniejącej, przy ul. Senatorskiej 29 – KB]. Kiedy podjeżdżaliśmy taksówką, otaczała nas kupa koników z biletami, tytułując męża: „Panie prezesie, panie dziedzicu, panie



Staś i Wiesio

hrabio” itp. Kiedy Solek jeździł na polowania, ja chodziłam do teatru na popołudniówki. Kiedyś wzięłam się na odwagę i poleciałam samolotem nad Warszawą. Gdy wieczorem powiedziałam o tym Solkowi, on załamał ręce i powiedział: „Stasiu, przecież ty masz dzieci, no i mnie”. W dzień moich imienin zeszli się goście. Solka nie było, teść zły, że w takim dniu go nie ma. Wtem wchodzi Solek, cały obwieszony zajęciami i zaczyna rozdawać, jednego ojcu, jednego Michalakowej, jednego Czesi, jednego Irce, jednego Jadzi itd. Solek, mając kilkanaście lat, poszedł do Qui Pro Quo. Po powrocie do domu pochwalił się, że był w „wesołym teatrze”. Na drugi dzień teść wziął żonę i też poszli do teatru. Któraś z aktorek [to musiała być Zula Pogorzelska – KB] śpiewała: „Ja się boję sama spać” i zszedłszy ze sceny, stanęła przed teściem i śpiewała: „A może pan aniołem stróżem będzie u mych drzwi”. Wtedy teściowa zerwała się,

wypchnęła męża, wściekła, i wrócili do domu (była bardzo zazdrośna). Solek dostał lanie. Teść na drugi dzień poszedł do teatru sam.

Kiedy Staś miał około trzech lat, byłem z nim w poradni lekarskiej, a on zaczął się wygłupiać, wtedy doktor mówi: „Niech pani go krótko trzyma, bo wyrośnie z niego komediant”.

Staś



Innym razem byliśmy w kawiarni-ogródku Bagatela, gdzie grała orkiestra. Staś odwrócił się w stronę orkiestry i zaczął dość dobrze naśladować dyrygenta.

W 1939 r. wybuchła II wojna światowa. Solka wzięto do wojska, a ja przekazałam do komisariatu piękną dubeltówkę „flower” i rewolwer. Oddaliśmy też samochód.

Barejowie w rodzinnym samochodzie



Dzieci były w Milanówku. Dochodziły nas wieści, że Niemcy bardzo szybko zajmują Polskę. Kiedy doszli do Warszawy, mimo ucieczki rządu stolica bardzo się broniła. Umiastowski [Roman Umiastowski, szef propagandy w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku, nawoływał przez radio ludność Warszawy do ewakuacji, wywołując panikę w mieście – KB] nakazał wszystkim mężczyznom opuścić Warszawę, co pociągnęło wiele ofiar, bo Niemcy bombardowali wszelkie skupiska.

Prezydent Starzyński nawoływał przez radio, że na Pradze było zdycha z głodu, a rzeźnicy nie przyjeżdżają po nie. Wtedy wzięłam Witka, konia pożyczyłam od Woźniaka, bo naszego zarekwirovano, i pojechałam na Pragę. Kiedy jechaliśmy mostem Kierbedzia, nadleciały samoloty niemieckie i rzuciły bomby, na szczęście jakieś 200 m od mostu. Ile strachu przeżyliśmy, nie da się opisać. Przywiozłam jedną krowę i trzy świnie. Nie było mowy, żeby zebrany tłum wpuścić do sklepu, bo by go zdemolowali, więc sprzedawałam przez okna. Mimo nalotów tłum się nie rozchodził, bo wszyscy byli głodni. W tym czasie ze starego zapasu zakopałam w ogródku beczkę smalcu, który później bardzo się przydał.

W końcu ogłoszono, że z powodu braku żywności i wody Warszawa musi się poddać. Niemcy zarządzili sprzedaż mięsa na kartki, po 10 dkg na osobę na tydzień. Staś bardzo mi pomagał, wycinając kartki. Solkowi udało się uciec z wojska, ale nie na długo. Wkrótce ostrzeżono nas z komisariatu, że przyjdą Solka aresztować. Wtedy uciekł z domu i ukrywał się gdzieś w zamojskim. Oczywiście przyszła rewizja, przeszukali wszystkie kąty, ja powiedziałam, że z powodu ucieczki męża rozeszłam się z nim. Odebrano mi przydział na kartki.

W Warszawie były łapanki. Kiedyś, jadąc na rowerze Polną do Wiesia do szkoły z kwiatami, wpadłam w sam środek łapanki. Niemiec zatrzymał mnie, ja mu tłumaczę, że jadę do szkoły do syna, wioząc kwiaty dla nauczycieli, i Niemiec mnie puścił. Innym razem

wiozłam cielęcinę do Czesi do sklepu na Marszałkowską, tę cielęcinę kupowali u Czesi przeważnie Niemcy z ulicy Litewskiej. I znów na placu Unii łapanka, ale udało mi się jakoś ją ominąć. Wtedy Solek wrócił do domu i jeździł na szmugiel. Ugadał sobie jakiegoś Niemca i z nim jeździł po towar, z którego Niemiec dostawał jakąś część. Kiedyś jechali, a tu kontrola. Zajrzeli do auta i zobaczyli części do maszyn i kazali jechać. Solek pyta, co by było, gdyby znaleźli towar, a Niemiec wyjął rewolwer i mówi: „Najpierw kula w ciebie, a potem w siebie”. I tak dożyliśmy powstania.

Kiedy wybuchło powstanie, u nas zebrał się sztab AK. Przyjechał wóz, który pod jarzynami przywiózł kilka blaszanych puszek z granatami. Gdy nie mogli otworzyć tych puszek, wzięłam nóż i puszki otworzyłam, wtedy nazwali mnie markietanką. Wzięli granaty i poszli w stronę Czerniakowa. Na Podchorążych siedział snajper i każdego, kto szedł do pewnego miejsca, kładł trupem. Wysłałam na strych i zobaczyłam, że w pewnym miejscu leżało czterech zabitych, a piątego Niemiec popchnął w stronę zabitych i strzelił mu w tył głowy. Kiedy stałam za domem, jakiś mężczyzna szedł w stronę Podchorążych, ja mówię: „Panie, niech pan tam nie idzie, bo tam siedzi snajper”, a on mówi: „Jakoś przejdę”. Doszedłszy do zasięgu snajpera, został zabity. U nas w piwnicy było dużo ludzi, bo była dość bezpieczna. Był z nami młody człowiek z małym dzieckiem i mówi: „Ja tu nie będę dłużej siedział”, i poszedł. Po pół godzinie wrócił sam, siwiuteńki. Na Stępińskiej Niemcy postawili wszystkich pod ścianą i dali salwę. Dziecko naszego sąsiada zostało zabite w jego objęciach, on się przewrócił i po tym przyczołgał się do nas.

Byłam w domu z Jadzią i Witkami. Kiedyś siedzieliśmy w piwnicy, a ktoś wali w okno i krzyczy: „Dom wam się pali”. Wybiegliśmy i okazało się, że pali się oficyna. Mając dużo wody, pożar ugasiłiśmy. Kiedy były jeszcze telefony, teść zadzwonił do mnie, mówiąc: „Siedzisz sama, a tu jest jedna pani, Zofia Łukomska z synem Kaziem i córką Marysią, którzy uciekli ze Lwowa”. Zgodziłam się ich przyjąć.

Wiesio co dzień chodził do komunji, a Kazio z nim. Kiedyś po powrocie z kościoła pytam Kazia: „Czemu nie jesz śniadania?“, a on: „Jadłem przed kościołem” – i to wzbudziło moje domysły. Kiedyś Witek przychodzi i mówi, że całe Sielce mówią, że Barejowie przechowują Żydów. Solek był akurat w domu, bo czasami przyjeżdżał, przywożąc nam żywność. Zaczęliśmy rozmowę z panią Łukomską, a ona mówi: „Tak, jesteśmy w państwa ręku”. Odpowiedziałam: „Chyba nas pani poznała”. Dałam jej poduszkę, trochę żywności i poszli, bo zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Dziękowała, mówiąc: „Ja się pani za to bardzo odwdzięczę”. Zaprosiła mnie potem na obiad do Łodzi, z czego nie skorzystałam. Kazio zginął w powstaniu, a pani Łukomska wyjechała do Izraela.

Kiedy zobaczyliśmy, że od strony Podchorążych Niemcy palą wszystkie domy, uciekliśmy na Sadybę. Niemcom trudno było zapalić nasz dom, bo był solidnie zbudowany, kiedy rzucili granaty, znajdujące się w sklepie syfony z wodą sodową zaczęły wybuchać, Niemcy wściekali się, że to jest amunicja. Po powrocie zastaliśmy dom spalony, ocalał tylko jeden spichrz, a u Woźniaka część piekarni, w której siedzieliśmy, żywiąc się sucharami i odrobiną wędliny, którą mieliśmy w piwnicy. Paliliśmy papierosy, skręcone w bibułce, kładąc w nią liście ze spalonych liści winogron, które rosły na domu Woźniaka. W tym czasie schowałam w piwnicy w jakimś zagłębieniu biżuterię. Wpadli do nas Ukraińcy, strzelali w górę, wołając: „Paszli, paszli”, odbierali ludziom wszystkie wartościowe rzeczy: zegarki, pieniądze i wszystko złoto. Ja obrączkę wrzuciłam do torebki, a wszystkie pieniądze miałam za pazuchą. Podszedł do mnie Ukrainiec i zaczął odpinać mi bluzkę, ja wzięłam go za rękę i mówię: „Panie, to nieładnie” – i on mnie puścił. Miałam więcej szczęścia jak rozumu. Po tym Niemcy wygnali nas w Aleje Szucha, gdzie nas rozdzielono. Solek ubrał się „na kucharza”, mnie pognało do Pruszkowa. Stamtąd miałam jechać na roboty do Niemiec, ale wzięłam za rączkę dziecko sąsiadki i jako matka z dzieckiem

zostałam skierowana w głąb kraju. Dojechawszy do Żyrardowa, korzystając z nieuwagi Niemca, wysiadłam. Tam spotkałam znajomych, którzy pomogli mi dojechać do Milanówka. Ponieważ pociąg się nie zatrzymywał, znajomi poprosili maszynistę, żeby zwolnił. Wskoczyłam w biegu i upadłam, ale prędko się poderwałam i pobiegłam do Irki. Zastukałam do Irki, otworzył mi Mundek i pyta: „Co panienka chciała” – tak wyglądałam.

Często wychodziliśmy w Milanówku na stację, na pociągi do Warszawy. Mundek miał znajomości i udało mu się zatrzymać pociąg, z którego wysiadła jego matka i moje siostry, Jadzia i Czesia. Żeby nie siedzieć na karku Irki, poprosiłam, żeby odstąpiła nam połowę sklepu, i zaczęłyśmy prowadzić sklep-kawiarnię. Mięso kupowałyśmy na bazarze, bimber przynosili kombinatorzy, a ciasta różne panie, które piekły, żeby zarobić na życie, nawet żona dra Bryndanackiego. Kiedyś przyszły dwie panie, przedstawiając się jako żona i córka Reymonta, ugościłyśmy je, zaopatrzyłyśmy na drogę i poszły dalej. Wysyłałyśmy nawet paczki do znajomych do Niemiec, między innymi do Heli Brykalskiej, która przysłała dziękczynny list, że uratowaliśmy ją od śmierci głodowej. Kiedyś napisałam rozpaczliwy list do Solka, że jestem śmiertelnie chora i chciałabym go pożegnać. Mając jakąś okazję, posłałam do gestapo. Na skutek tego listu Solka zwolniono warunkowo, naturalnie nie miał zamiaru wracać do aresztu, przywiózł nawet dla chłopców trochę garderoby. Solek ze Stachem P. wynajęli warsztat i robili wędliny, przeważnie parówki, a że tam nie było wędzarni, więc u Mundków w ogrodzie przewrócono psią budę i była wędzarnia. Przechodnie śmiali się, że u Poncyliusza na wystawie leżą całe piramidy parówek, po które można wchodzić po drabinie.

W wigilję, kiedy miałyśmy największy utarg, weszło trzech bandytów z rewolwerami. Drzwi zamknęli na klucz, który wzięli do kieszeni, i zaczęli nas spędzać do jednego pokoju, ja byłam w przedpokoju. Irka wyszła ze sklepu i mówi: „Bandyci”, więc wybiegłam na



klatkę i chociaż tam też stał bandyta, wymknęłam mu się i zaczęłam wołać: „Ratunku!”. Wybiegli mężczyźni, którzy byli u sąsiadów. W międzyczasie ci trzej, którzy weszli pierwsi, wpadli do pokoju, w którym jeszcze siedzieli goście. Zabrali jednemu panu pieniądze, dowód osobisty i jakieś drobiazgi, a słysząc krzyk, prędko się wycofali. Około godziny dziesiątej zastukali do mieszkania. Wtedy Solek wyjrzał przez okienko w kuchni i pyta, czego chcą. A oni: „Oddajcie nam rękawiczki, które zostawiliśmy w sklepie”. A Solek mówi: „Tylko oddajcie klucze, pieniądze i dowód osobisty” – i tak została dokonana wymiana. Oni powiedzieli: „Przyszliśmy do was na opłatek, a wy do nas z piśćciami”, a Solek: „Na opłatek z rewolwerami?”. „No to my tu jeszcze przyjdziemy”. Po pewnym czasie Niemcy za karę, że warszawiaczy nie chcą kopać okopów, kazali nam zamknąć sklepy. Więc handlowaliśmy od tyłu.

Gdy ktoś zastukał, mama Mundka otworzyła. I znów zobaczyłam tych samych bandytów, którzy zaczęli nas spędzać do jednego pokoju. Ja byłam w kuchni, wybiłam szybę i wybiegłam do ogrodu, tam stał jeden bandyta i powiedział: „Stać, bo będę strzelał”. Ja mówię: „Strzelaj, bandyto” – i pobiegłam do komisarjatu. Ale tam byli Niemcy, którzy nie bardzo chętnie poszli za mną, pytając, czy to polityczni? Mnie się zrobiło przykro, że poszłam do Niemców ze skargą na Polaków. W tym czasie Jadzia złapała jednego bandytę za kłapy, mówiąc: „Jak wy macie sumienie napadać na nas, co wyszliśmy z Warszawy w jednej koszuli”. On na to: „My nie jesteśmy bandyci, my jesteśmy z АК, a czyj to dom?”. Gdy mu powiedziano, zasalutował i powiedział: „Przepraszam, to pomyłka”, i prędko się wycofał. Koło kościoła czekało na nich auto i prędko odjechali. Niemcy ze strachem przeszukali dom i poszli z niczym. Jak się później dowiedzieliśmy, ci bandyci ograbili kilka lokali, gdzie pogwałcili kobiety, a w jednym zostawili kupę na stole.

I tak doczekaliśmy się ustąpienia Niemców i wejścia Sowie-  
tów. Po kilku dniach poszliśmy z Solkiem do Warszawy, a że nie



Solek

mieliśmy gdzie mieszkać, zamieszkaliśmy u teściów (w domu przy Madalińskiego). Solek prowadził warsztat, a ja z Czesią, po usunięciu trupów i jakim takim odrestaurowaniu, prowadziłyśmy sklep na Marszałkowskiej. Solek, idąc kiedyś pijany ulicą Rakowiecką, uderzył w twarz oficera rosyjskiego, naturalnie wzięto go na posterunek i tam okropnie zbito. I znów Czesia jakimś cudem zdołała go wydostać, ale bok mu odbito. Kiedy przychodziłam spracowana do domu, zastawałam go pijącego z siostrzeńcami; powiedziałam, że nie chcę z nim żyć, i pojechałam do Milanówka.

Solek przyjechał, klękał, przeproszał, mówiąc, że chce się ode-  
rwać od tego towarzystwa i żebyśmy pojechali do Jeleniej Góry.  
Zgodziłam się. Tam prowadziliśmy warsztat i sklep. Z powodu  
naszych dobrych wędlin klienci przyjeżdżali nawet z Cieplic. Po  
tym sklepy upaństwowiono, ja prowadziłam nadal sklep, a Solek  
pracował w wytwórni, kiedy mu zaproponowano, żeby wstąpił do  
partii, bo potrzebny jest im dyrektor. Solek powiedział, że nie czuje  
się godnym wstąpienia do partii, więc pozostał jako kandydat. (...)  
Solek poszedł do tej pracy także po to, żeby Staś miał pochodzenie  
robotnicze, potrzebne na studia.

Staś po zdaniu matury wyjechał do Łodzi, do szkoły filmowej,  
gdzie cudem się dostał, dzięki poświadczeniu ze spółdzielni, że  
pochodzi z rodziny robotniczej, i swojemu czytaniu. Mieliśmy  
trzy pokoje na dole i czwarty na górze, gdzie mieszkał Staś. Staś,  
chcąc sobie urozmaicić swój pokój, na-  
malował różne obrazy [przedstawiały  
nagie piękności – KB], a pod łóżkiem  
namalował nocnik. Kiedy wyprowa-  
dzaliśmy się, musiałam pokój odnowić.  
Lekcje kazałam mu odrabiać na dole,  
bo kiedy wchodziłam do jego pokoju,  
to chował pod stół jakąś lekturę, która  
mu się później zresztą przydała.

Teraz o mojej strasznej tragedji. So-  
lek chciał iść coś zwiedzić, ja posłałam  
z nim Wiesia. Pojechali do Cieplic  
i tam Wiesio wszedł na skały; chcąc  
zrobić zdjęcie, spadł ze skały, pękła  
podstawa czaszki i mimo przewiezie-  
nia do szpitala nie było ratunku. Wiesio  
umarł 10 sierpnia 1947 r. Przewieźliśmy  
go do domu i stamtąd wyruszył orszak

Wiesio



pogrzebowy. Wiesio należał do harcerzy, odznaczono go jako harcerza orlego. Pogrzeb był bardzo uroczysty, całą drogę obstawili harcerze. Po tym pociągami do Czerniakowa. W roku 1939, gdy byliśmy jeszcze w domu, mieszkaliśmy razem z Witkami. Ich syn Jędrzek dostał szkarlatyny, przetrwał ją, ale tą nierozwiniętą szkarlatyną zaraziła się Hanusia i nie było ratunku. A teraz, tuż po wojnie, znów pogrzeb. Solek zaczął chorować. Pojechałam z nim do Warszawy. Dając 300 zł łapówki, udało mi się umieścić go w szpitalu onkologicznym. Operował go dr Manteuffel, po operacji powiedział mi, że Solek pożyje kilka tygodni. A on żył jeszcze kilka miesięcy. Dnia 18 sierpnia 1955 r. zmarł.

Nie chcąc być w domu sama, pojechałam do Stasia do Łodzi. Mieszkał w suterynie, którą mu przydzielono po skończeniu szkoły. Jego sąsiadki mówiły mi: „Niech pani zabiera stąd syna, bo te dziewczyny go zamęczą”. Kiedy robiłam mu wymówki, powiedział: „Co mamusia myśli, całe życie spędzić z jedną?”. Zaczął kręcić swój pierwszy film, a że kręcił w szkole, udało mu się wykręcić z wojska. Mnie dzięki Tomczakowi udało się zamienić mieszkanie z Jeleniej Góry na Łódź. Kiedyś Staś przyszedł do domu i powiedział: „Poznałem dziewczynę, z którą chciałbym przeżyć całe życie”. Była to Hania. W dniu 24 czerwca 1958 r. odbył się ślub, niestety tylko cywilny, i Staś wyjechał do Warszawy, a ja znów zostałam sama. Dzięki ogłoszeniu zamieniłam mieszkanie na kawalerkę (w Warszawie) na ulicy Stalingradzkiej (dziś Jagiellońskiej), dopłacając 10 tys. zł.

Hania zaszła w ciążę, urodziła się Kasia. Ja byłam jeszcze w Łodzi. Staś zadzwonił do mnie i przez pół godziny opowiadał mi, jaki jest szczęśliwy: „Czy mamusia wie, że ja mam córkę i jestem ojcem!”.

Dnia 30 marca 1966 r. Hania poszła do szpitala, ja zadzwoniłam do nich i pytam o wynik, on mi opowiada różne rzeczy, a gdy nalegałam, wreszcie powiedział: „Mamy syna!”. Czesia była z nim w szpitalu, kiedy wyszli, Czesia patrzy, a Staś fika koziołka na ulicy.

## BABCIA STASIA

Ktoś napisał: „Ludzie nie będą pamiętać, co im daliśmy i co dla nich zrobiliśmy, ale zawsze będą pamiętać, jak się przy nas czuli”. Przy babci Stasi zawsze czułam się bezpieczna i kochana. Niemal wszystko straciła w czasie wojny i po wojnie, jednak dzieliła się tym, co jej pozostało, nawet z tymi, z którymi niekoniecznie zamierzała się dzielić. „Stas” denerwował się, że do kawalerki na warszawskiej Pradze bez zastanowienia wpuszcza obcych. Ze wszystkich cennych przedmiotów, poza kieszonkowym zegarkiem po dziadku Sylwestrze – „cebulą” – ukrytym w czeluściach rzeźbionego kredensu i paroma drobiazgami ze złota, babci pozostała jedynie elegancka, skrzynkowa cukiernica ze srebra. Podczas którejś wizyty zauważyliśmy, że cukiernicy nie ma na stole. „Aaa, przyszły takie dwie dziewczynki, mówiły, że są z PCK, i chciały skorzystać z łazienki...” – wyjaśniła zakłopotana babcia.

Stanisław Bareja przepadał za jej gołąbkami, pieczonymi udkami kurczaka, tatarem, wątróbką po żydowsku, zupą cytrynową, domowym ajerkoniakiem, brzoskwiniami w kompcie, gruszkami w occie, tortem czekoladowym oraz kruchym czekoladowym placikiem z bakaliami. Nie miał głowy do „paprania się” z gołąbkami; dostarczał Mamusi składniki, po czym przywoził ją do nas wraz z garnkiem wypełnionym gołąbkami, które dopiero teraz były zapiekane w piekarniku. Przyjeżdżała do nas także autobusem pospiesznym „D” z podarunkami z bazaru Różyckiego: pudełeczkiem kremu poziomkowego dla Kasi („ziemiacziannyj kriem” ze Związku Radzieckiego) i plastikowym karabinem dla Jasia. Zawsze stawiała się w naszym domu w dniu imienin któregoś z domowników i pomagała w przyrządzaniu poczęstunku dla gości.

Wielkanoc przez wiele lat była urządzana w babcinej kawalerce na Pradze, przy ulicy Stalingradzkiej *vis à vis* warszawskiego ZOO. Ku zachwytowi dzieci babcia Stasia przygotowywała osobny stolik

z miniaturowymi wielkanocnymi daniami dla wnucząt. Galaretką z różek w foremce na ciastko, przepiórcze jajeczka w majonezie, babeczka wielkanocna z lukrem, karafeczka z sokiem oraz... maciupęńkie szklane kieliszeczki! Korzystając z wyjścia mamy do łazienki, babcia z tatą nalewali na łyżeczkę odrobinę ajerkoniaku i dawali mi do spróbowania. Dumna ze sztamty z dorosłymi, dzielnie wylizywałam łyżeczkę (na to wspomnienie jako matce włosy stają mi dziś dęba na głowie).

W latach, gdy młodzi państwo Barejowie gnieździli się w maleńkim mieszkaniu przy ulicy Wilczej, u babci odbywały się moje kąpiele. Poobiednia drzemka była uprzyjemnianą kołysanką-szeptanką w wykonaniu babci Stasi: „Aaa, kotki dwa, szarobure obydwu, nic nie będą robiły, tylko Kasię ba-wi-ły”.

Ze względu na brak miejsca w zagraconej jeleniogórskimi meblami kawalerce rozrywki miały zwykle charakter stacjonarny i polegały przede wszystkim na oglądaniu książeczek o przygodach Koziołka Matołka i Małpki Fiki-Miki, wertowaniu rodzinnych albumów ze zdjęciami oraz studiowaniu przedwojennej książki kucharskiej. Gdy podrosłam, zabawiałam rodzinę czytaniem na głos opisów wykwintnych potraw. Urzeczona bogactwem elementów, fantazjowałam o próbowaniu potraw z niespotykanych składników i o dziwnie brzmiących nazwach: Tort Kamienny, Mazurek Szkocki, Placuszki Potagowskie Stuletnie (fakt, prawie...), Fałszywy Szczupak z Cielęciny (zapowiadał się jak peerelowski „kurczak z drobiu”, mianowany przez autora ówczesnego sloganu „groźnym konkurentem tradycyjnego schaboszczaka”), Bigos Hultajski, Zupa Ułańska, Zupa z Mózgu dla Chorego. Babcia żartowała, że jeśli wyjdę bogato za męża i mojego męża będzie stać na ingrediencje, to przepisze mi księgę w testamencie.

Gdy po latach książka znalazła się w moim posiadaniu, pomimo niespełnienia warunku w postaci bogatego męża, z rozczarowaniem skonstatowałam, że to... żaden zabytek. Fotografie elegancko

garniowanych dań są przecież kolorowe, a porady – powojennie postępowe: „Każdy produkt należy kupować w czasie właściwym, gdy darzy nim pora roku, np. szparagi kupuje się na wiosnę, a kapustę na jesieni, a nie na odwrót (...)”, „Żołądek trawi doskonale kapustę surową ukiszoną, surową marchew, kalarepę, rzodkiewki, rzepę, selery i inne jarzyny, są one nawet wskazane dla organizmu”. Poczulałam się wystrychnięta na dudka przekonaniem o zabytkowości książki. Może znajde chociaż „sztukamię” – ulubioną potrawę Augusta Mocnego (i moją)? Otworzyłam rozdział traktujący o rodzajach mięsa, by wyczytać: „Płuca, serce i wątroba nadają się li tylko na najnowsze dania, przeważnie gotowane dla służby i czeladzi”. Służby? Czeladzi?

Na niebieskiej, płóciennej okładce tytuł dawno uległ zatarciu. Pierwsza strona, której się nie przyjrzałam, ograniczając wertowanie kartek do najciekawszych przepisów, głosi:

MARJA DISSŁOWA  
B. DYREKTORKA LWOWSKIEJ  
SZKOŁY GOSPODARSTWA DOMOWEGO  
„JAK GOTOWAĆ  
PRAKTYCZNY PODRĘCZNIK KUCHARSTWA”  
ROK 1927

A... żaby w śmietanie? Ani śladu. Jest za to przepis na Fałszywą Zupę Żółwiową (na prawdziwą także, ale go nie przytoczę, bo słabo się robi). Nie mogąc oderwać się od lektury, dowiedziałam się, że „gdy pani czytuje do północy w łóżku, jest to niehigieniczne i kosztowne”. Dobranoc, Kochana Babciu.



Babcia Stasia i mała Kasia





Panustrik

2. Dziś wycieczka do Turoniska

net "luciana". Będę czytał

planety "Loche'a. Fabryka b. d.

nie wrzucić do "Planety Śmierci".

Niedziela "Czerwona planeta 3to 4d,

na Mars "Czerwona planeta 3to 4d,

Cyde'a 4 Był... na Mars "Czerwona planeta 3to 4d,

STANISŁAW BAREJA

XII, 1947

Jelenia Góra

rowe... o masowa me nar

... robic prowadzisz to

## ROZDZIAŁ 2

### PAMIĘTNIKI STANISŁAWA BAREI 1947–1948

„Aha, najważniejsza rzecz, bym zapomniał... kamyk, o który pan prosił z... Jeleniej Góry przywiozłem” – Ryszard (Stanisław Tym) wręcza panu Janowi kamień, przed chwilą wydobyty z londyńskiego rynsztoka. „Z Jeleniej?!” – dopytuje zaskoczony sklepikarz (Stanisław Bareja). „Z Jasnej Góry oczywiście! Pamiątka. Pan wie, Kto po nim stąpał...”

„Kamyk z Jeleniej Góry”, umieszczony w szklanej gablocie wprawionej w jeleniogórski bruk na miejskim rynku, upamiętnia scenę z *Misia*. Przez wiele lat odbywał się tu festiwal amatorskich filmów komediowych o nazwie Barejada. W liceum im. Stefana Żeromskiego umieszczono tablicę upamiętniającą jednego z najbardziej niesfornych uczniów szkoły – Staszka B.

Kiedy Barejowie przyjechali po wojnie do Jeleniej Góry, otrzymali przydział mieszkania 2A przy ulicy Kasprowicza 2. Sylwester i Stanisława natychmiast zabrali się do rozkręcania wędliniarskiego interesu. Zaczynając od zera, musieli sprowadzać część składników aż z Warszawy. Wkrótce zyskali uznanie klientów. Cóż z tego, skoro przepisy wymagały, by sprzedawali produkty bez marży: po cenie surowców, a nie gotowego produktu! Wzburzony niesprawiedliwością, a wręcz bezsenssem takich przepisów, kontrolami i grzywnami, dziadek Solek napisał odwołanie do samego prezydenta Bieruta. W odpowiedzi otrzymał... dodatkową karę pieniężną. Zniechęcony szykanami godzącymi w „prywatną inicjatywę” i dla zapewnienia



Stasiowi punktów na studia za „robotnicze” pochodzenie, Sylwester Bareja zatrudnił się w Państwowych Zakładach Przemysłu Mięsnego. Jako syn prywaciarza młody Bareja nie miałby szans na to, by dostać się do szkoły filmowej, więc z wdzięcznością wspominał decyzję ojca.

„Umarł Bareja – dobrze, że nie ja!”... Zgorzeleni sąsiedzi zawiadomili Stanisławę Barejową, że na nekrologach jej syna Stanisława jakiś łobuz dopisał okrutne szyderstwo. „Ależ Staś nie umarł, żyje!”, odpowiedziała wstrząśnięta matka.

A Staś zaśmiewał się, podglądając wszystko z ukrycia, bo sam spreparował zarówno nekrolog na swój temat, jak i dwuwiersz, ciekaw reakcji, jaką wywoła. Zainspirował się wątkiem z *Przygód Tomka Sawyera* Marka Twaina, gdzie młody bohater z satysfakcją obserwuje mszę żałobną ku swej pamięci. Niebawem miało jednak

nastąpić wspomniane już w pamiętnikach Babci Stasi wydarzenie, które nadało żartowi tragiczną wymowę.

Brat Staszka, Wiesław – „Wiecho”, młodszy o dwa lata, był podobno spokojnym i miłym chłopcem. Musiał być też odważny, skoro szkolił się na pilota szybowcowego w Aeroklubie Jeleniogórskim w Jeżowie Sudeckim. Był harcerzem orlim. Definicja Związku Harcerstwa Polskiego określała ideę tego stopnia następująco: „Kierując się Prawem Harcerskim, harcerz orli buduje swój własny system wartości. Sam wyznacza swoje cele. Wybiera swoją drogę życiową. Dąży do mistrzostwa w wybranych dziedzinach. Podejmuje wyzwania. Znajduje pole stałej służby”.

Pewnego razu Wiesio wybrał się z ojcem do Cieplic. Tam, wspinając się na skały przy wodospadzie, stracił równowagę, spadł i roztrzaskał głowę o głaz. Staszek nadaremno modlił się o przeżycie brata, który zmarł po kilku dniach w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

W pamiętniku Staszka z tego roku (1947) nie ma nic, co zapowiadałoby późniejszą twórczość. Trudno się dziwić – zdjęty bólem, rozpoczął pisanie w trzy miesiące po śmierci brata.

Był ogromnie zżyty z Wiesiem; od małego dzielili pokój oraz poddasze domu, na którym zbudowali makietę wzgórz i rzeki, aby urządzić tam bitwy własnoręcznie odlewanych i malowanych łożnianych żołnierzyków.

Oprócz ryzykownych, chłopięcych zabaw, które Staszek uwiecznił w pamiętniku, część ich braterskich rozrywek stanowiło wspólne układanie Historyjek. Zabawa polegała na tym, że jeden z braci zaczynał snuć wymyślony wątek, na przykład: „Nadciągał wieczór, gdy na horyzoncie zamajaczył okręt pod żaglami, który w szybkim tempie zaczął zbliżać się do brzegu. Chłopiec łowiący ryby ze zdumieniem spostrzegł, że... Teraz ty!”. Na zmianę dopowiadali dalsze wydarzenia w nawiązaniu do wcześniejszego rozwoju akcji aż do zakończenia Historyjki.

Staszek nie ujawnia w pamiętniku uczuć związanych z utratą brata, ale wielokrotnie notuje: „Śnił mi się Wiecho”. Powraca do wspólnych przeżyć z dzieciństwa, szczegółowo je opisując. Na planie pokoju, do niedawna dzielonego z bratem, zaznacza „tapczan Wiesia”. Na liście uczniów swojej klasy umieszcza imię i nazwisko brata – w czasie terażniejszym. Kilkakrotnie rysuje „czyjąś” okaleczoną głowę...

Dopiero po upływie wielu miesięcy od śmierci Wiesia w tekstach Staszka zaczynają się pojawiać ślady specyficznego, barejowskiego humoru.

Przytoczone fragmenty pamiętników pokazują początki kształtowania się osobowości twórcy komedii *in spe*. Przyszły reżyser pisze głównie o uciezkach z lekcji, unikaniu klasówek itp. Wagarowicz zamiast na lekcjach „siedzi” w książkach oraz w kinie, teatrze i... łaźni (uwielbiał się kąpać i pływać). Niepostrzeżenie i na razie nieświadomie dla samego siebie przygotowuje się do przyszłego zawodu w sposób, jakiego szkoła by mu z pewnością nie zapewniła. W pamiętnikach zapisuje ogromne ilości tytułów przeczytanych książek (do trzech dziennie!) i czasopism, obejrzanych filmów i spektakli teatralnych.

Nie zdążyłam zapytać, jak doszło do tego, że Stanisław Bareja, który przez lata systematycznie przygotowywał się do stania się „dzielnym matrosem” (to jego własne słowa), zamienił owo marzenie na pragnienie zostania filmowcem. Do jakiego stopnia uciezka w świat wyobraźni i fikcji literackiej po śmierci ukochanego brata przyczyniła się do zmiany zawodowych planów? A może zadecydowało coś innego? Wiem z opowieści, że ojciec zapisał się do Szkoły Morskiej w Ustce. Wyłynęli grupą uczniów na Bałtyk. Na kuterze rybackim podczas pierwszego pobytu na morzu tak huštało, że Staszek się pochorował i na szczęście dla polskiej kinematografii zaniechał marzeń o karierze marynarza / pracy na statkach morskich.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

